Rozmaitości

Dnia 12. Września **N^er.^ 37.** Roku 1840.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

POWIEŚĆ ROMANTYCZNO - HISTORYCZNA.

Podług rossyjskiego.

(Ciąg dalszy.)

Smutno i ponuro wydobywał się dzień z posępnéj nocy styczniowéj i słabém światłem rozjaśniał naturę, spoczywającą w zimowéj szacie śmiertelnéj. Maryna zatopiona w tym martwym obrazie życia ludzkiego, w którym tylko duch myślący nad znikomość się wznosi, wsiadła nareszcie do przepysznéj koléby podróżnéj, mającéj ją zawieźć do nowéj ojczyzny. Niepodobna jéj było zaraz po zaślubinach, jak sobie małżonek życzył, opuścić kraj szczęśliwéj młodości, z którym łączyło ją tyle świętych uczuć i przypomnień. Prosiła więc Cara, by jeszcze choć niedziel kilka w ukochanéj ojczyźnie zabawić mogła, na co ten zezwolił wprawdzie, atoli z oświadczeniem, iż cieszyłoby go niewymownie, gdyby piękną małżonkę mógł jak najprędzéj w Moskwie powitać. Wkrótce po ślubie usunęła się Maryna od zgiełku dworu i wyjechała do Sambora, którego polom nie dostawało wprawdzie ozdoby łagodniejszéj pory roku, lecz który zawsze z wielorakich względów był w teraźniejszém położeniu najulubieńszą dla niéj siedzibą. Przybywszy do tego miasta, nic ją tak bardzo nie zajmowało, jak chęć pomówienia raz jeszcze przed wyjazdem z ukochanym przyjacielem młodości, by mu pozostawić lepsze mniemanie o charakterze swoim, po tém wszystkiém, co dotąd zaszło. Jan walczył długo sam z sobą, czy być posłusznym listowi, pisanemu piękną ręką Maryny, lub czy pogardą ukarać wiarołomną i nigdy więcéj nie widzieć jéj zwodniczego oblicza. Nareszcie miłość przemogła, i pospieszył do Sambora.

Młoda Carowa oparłszy głowę o rękę, siedziała w samotnéj komnacie w krześle z poręczami, obitém pąsowym adamaszkiem i złotémi frenzlami przyozdobionéni, a czarna fałdzista jéj szata szczególnie odbijała od tego żywego koloru. Duże ciemne oczy miała bez przerwy ku drzwiom zwrócone, a cała jéj istota wyrażała pewne wzruszenie wewnętrzne. Nareszcie po galeryi słyszéć się dały kroki męzkie, i z twarzą tajemniczą wszedł służący, a za nim postać zakryta. Maryna, jak gdyby z ciężkiego snu ocknięta, zadrżała, podniosła się z krzesła i chwiejnym krokiem ku wchodzącemu pomknęła. Chciała mówić, lecz wewnętrzne uczucie głos jéj odjęło; bez przytomności padła w objęcie przyjaciela. Ten na chwilę zapominając o wszystkiém, zawsze kochaną jeszcze do bijącego serca przycisnął. Maryna otworzywszy oczy, powróciła nareszcie do życia. Słodkie pomieszanie malowało się na jéj piękném młodocianém obliczu, gdy uczuła się być objętą rękoma Jana i głowę swoję na jego piersiach złożyła. »Czuję« rzekł Jan przerywając milczenie i sadowiąc Carowę na krzesło, »czuję, że wszystko zgoła utraciłem.«

»O przebacz nieszczęśliwéj Marynie«, wyrzekła cichym głosem, »nie mogłam nieuczynić ofiary; obowiązek córki i miłość ojczyzny zmuszały mnie do tego, a sam wiesz Janie, że na głos tych świętych wyrazów, wszystkie inne uczucia milczéć powinny.«

»Jeżeli tylko«, odparł Różycki, »to wielkie uczucie kierowało tobą Maryno w tym ważnym kroku życia, wtedy przebaczam ci, i jeszcze w téj najboleśniejszéj chwili istnienia mojego, miłość moję z sobą uniosę!«

»Na Boga, który mnie słyszy, poprzysięgam«, mówiła Maryna w tonie uroczystym zapewniającéj prawdy, »że tylko myśl otarcia nareszcie łez krwawych, jakie biédna ojczyzna nasza już tak długo strumieniami wylewa, mogła mnie skłonić do tego boleśnego postanowienia.«

»A więc w zgodzie rozłączam się z tobą droga, szlachetna niewiasto«, rzekł rozczulony Jan do płaczącéj Maryny, »aż do grobu wiernym ci pozostanę.« Milcząc podała Carowa pojednanemu rękę — i upłynęła wielka chwila rozstania.

Carowa w ciągu podróży przyjmowaną była z zaszczytami godności jéj przynależnemi, co dumie towarzyszącego jéj ojca szczególnie schlebiało. Po jéj do Moskwy przybyciu wyglądało tam wszystko, jak w kraju czarodziejskim, ileże Dymitr, znający dobrze sposób myślenia Mniszcha, niczego nie szczędził, by wstęp Maryny w nowe życie dworskie, ile możności świetnym uczynić.

W dzień koronacyi stała Carowa Maryna przed dużém z wyzłacanémi ramami zwierciadłem, odbijającém jéj postać, i to poglądała na błyszczącą koronę, to na przepyszne gronostaje, które ją okrywały. »Przecież to«, pomyślała patrząc z upodobaniem na kibić swoję, »przyjemném jest uczuciem nosić koronę i panować. Tysiące słuchać muszą, gdy Monarcha skinie, tysiące czatują na przyjaźny jego uśmiéch i drżą na najmniejszy wzrok gniewu. Tak jest«, wykradł się głos z tajemniczéj głębi jéj serca, »radość tylko na tronie mieszka!«— a l e n i e z a w s z e s z c z ę ś c i e, jako cichą przestrogę chciało dodać sumienie. Wtém nagle rozwarły się podwoje i wszedł Car w ubiorze carskim, by małżonkę do sali koronacyjnéj zaprowadzić. Przepych, z jakim ten obrzęd odbyto, był w istocie jak najświetniejszym. Blask gorejących ogniem brylantów i bogactwo złoto-litych ubiorów, było tak wielkie, jak sobie zaledwo wyobrazić można; ale to wszystko o wiele jeszcze przewyższała królewska piękność i uprzejmość Maryny, które połączone z wykształconym umysłem i ze skromnością prawdziwie ujmującą, wszystkie jéj serca pozyskały. Wkrótce o niczém tyle nie mówiono w Moskwie, ile o zachowaniu się Carowéj, połączoném z godnością, o jéj rozumie i wdziękach, którym oprzéć się nie było podobna. Nie takie wszakże było zdanie o jéj małżonku. Owa pogarda zwyczajów i obyczajów ruskich, owo otaczanie tronu osobami niesprzyjającémi prawosławnéj wierze narodu, wszystko to lud widocznie przekonywało, że miano zamiar obalenia religii przodków. Nadawanie cudzoziemcom najważniejszych urzędów Państwa, tychże duma w kraju zupełnie im obcym, obudziły nienawiść bojarów, i serca, jeszcze prawdziwą miłość ojczyzny żywiące, sprawiedliwą zawrzały niechęcią. Car wszelako, upojony otaczającą go wielkością i przepychem, nie postrzegał ciemnych obłoków, co burzą grożąc gromadziły się nad jego głową. Afanazy Własyjew, ujęty wdziękami Maryny, ośmielił się nareszcie uczynić ją uważną na grożące małżonkowi niebezpieczeństwo. Ta jednak wprzódy już zbadawszy zupełnie charakter Cara, nieprzestawała dawać mu rad zbawiennych i serce jego czynić skłonniejszém ku dobru państwa i ku szczęśliwości ludu. Ale przestrzegający głos małżonki, głucho tylko odbijał się o uszy omamionego Cara, przywykłego słyszéć tylko łudliwe tony upajającego pochlebstwa i wesołości. W tych chwilach, w których Maryna nadaremnie odzywała się z prośbami do serca Dymitra, w jéj sercu biły uczucia tak gwałtownie, jak bałwany morskie.

Ty sama na tronie, szeptało coś do jéj wnętrza, a postać rzeczy byłaby inną. Lecz związki, mocniejsze, niż wszystko na ziemi, przywiązały jéj duszę do innego droższego jeszcze życia, mogącego samo tylko rozpogodzić ponure jéj myśli. Została matką, matką ładnego chłopięcia. Gdy dziecię w słodkim śnie spoczywało, lub uśmiéchało się w anielskiéj niewinności, wtedy i w sercu matki było jak niegdyś spokojnie i błogo, albowiem spokojność niemowlęcia nieba jéj nachylała.

»Już łagodniejsze powietrze wiosny czuć się daje«, rzekła raz Carowa do Katynki, synowicy Własyjewa, zastępującéj przy niéj miejsce panny dworskiéj. Mówiąc to i przystąpiwszy do okna otworzyła je.

»Pomnij Najjaśniejsza pani«, odezwała się dziewica, »że to dzisiaj szesnasty maja; — ale«, dodała troskliwie »czyliż pani nie położysz się do łóżka, już późno i powietrze nocne może zaszkodzić W. Carskiéj Mości.«

»Nadaremnie usiłowałabym usnąć« odrzekła Carowa, »coś mi bardzo ciężko na sercu. Pójdź Katynko, przynieś mi syna, a może widok dziecięcia tak jak zawsze i dzisiaj ubiegłą wróci spokojność.« Dziewica odeszła, posłuszna rozkazom pani i wróciła wkrótce ze spiącém dziecięciem na ręku. »Dobrze tak«, rzekła Carowa i miłą dziecinę na matczyném łonie położywszy, okrywała je gorącémi pocałunkami i szeptała doń słowa pieszczotliwe, często atoli przerywane łzami smutku, z pięknych ócz jéj płynącémi. Katynka pojrzawszy z rozrzewnieniem na płaczącą matkę, odezwała się:

»Ulżyj łaskawa pani sercu swojemu, a to co cię dolega, złóż na milczącém łonie przyjaźni; jesteśmy same, rzadko zdarzają się tak przyjaźne chwile.« Słodki głos Katynki, zdający się pochodzić z czystego źródła duszy, i łagodność jéj charakteru, mimowolnie skłoniły ku niéj Carowę i w jéj pierś zraniona wlały pocieszający balsam współczucia. Wyznała wszystko: miłość swoję, żal swój i troskliwość o lekkomyślnego małżonka. »Takiego Jana jak twój Najjaś. pani« w końcu opowiadania zawołała Katynka z wszelkim zapałem dziewiczego uniesienia, »takiego nie odstąpiłabym za żadnę koronę; ale to prawda także«, dodała łagodniéj, »żeś Wasza Carska mość miała inne jeszcze obowiązki do wypełnienia, i nie mogłaś o swojém tylko szczęściu pamiętać. Zdumiewam się nad W. C. Mością, ale czuję oraz, że ja w podobnym przypadku nie byłabym w stanie tak wspaniałomyślnie postąpić. Co się tyczé obawy Waszéj o małżonka, aż nadto ją z Wami podzielam; lecz gdyby niebezpieczeństwo w saméj istocie było tak blizkiém, jak Najjaśn. pani sądzisz, stryj mój dawno już byłby przestrzegł drogą Carowę swoję i w czas jeszcze ją ocalił.«

»Nigdy nie znałam bojaźni«, z powagą odrzekła Carowa, »a tém mniéj tu się jéj lękam, gdzie dotkliwe uczucie winy serca mi nie uciska. Ale kocham lud mój Katynko i chciałabym, by był szczęśliwy. Niecne postępki małżonka mojego, nie o mnie wprawdzie, lecz o niego samego trwogą mnie nabawiają. Wierzaj, uciemiężeni czekają z niecierpliwością wybawczéj chwili dla rozerwania swych kajdan. Dom Szujskich dawno już sięga po koronę Carów i niedługo nieczynnym pozostanie; zgubny płomień dumy i chciwości na nowo wybuchnie, a jam zapewne nadaremnie tylko uczyniła ofiarę!«

»O nie zasępiaj Najjaśn. pani tak smutnemi obrazami duszy«, pocieszała Katynka, »a połóżmy nawet, żeby i tak było, jak W. C. Mość sądzisz, mniemaszli, iż najszlachetniejsi i najznakomitsi mężowie Rossyi nie pospieszą poprowadzić Was do drugiego, szczęśliwszego może ołtarza?«

»Przenigdy!« zawołała Carowa, a twarz jéj zrumieniła się mocno, »przenigdy nieopuściłabym tronu, na który mnie szczęście wyniosło — i wtedy nawet, gdyby ręka Jana była za to nagrodą!«

Świéce w dużych śrebrnych świécznikach posępne już światło rzucały, a przez cichą noc majową godzinę północy zabrzmiał głos uroczysty zégara, i jak gdyby z trwogą duchów stowarzyszony, odbił się groźnie o uszy samotnych niewiast. Dziewica powstała na znak Carowéj, zawołała na pokojową służbę pełniącą, ażeby Panią rozebrała i małego Iwana do łóżka odniosła. Szczególnie poruszyły Katynkę z zapałem wyrzeczone słowa Carowéj, i mdłe światło przeczucia przemknęło po jéj duszy. A w tém z dolnych dziedzińców i gmachów pałacu odbił się zgiełk przytłumiony, i to zbliżać to oddalać się zdawał. »Boże! cóż to!« zawołała Carowa, »co ten tak późny krzyk znaczy?«

Zaledwo słów tych domówiła, drzwi się otwierają i wpada nagle poseł Własyjew.

»Zdrada, zdrada!« zawołał, nim drżące niewiasty były w stanie przerwać to krótkie ale okropne milczenie, przerażane tak uderzeniem na gwałt w bębny, jakoteż ponurym jękiem dzwonów, ze wszystkich wież

stolicy. »Patrz Katynko!« zawołała wreszcie Maryna, »przeczucia moje już się spełniły.«

»Nie lękaj się niczego nadobna Carowo«, rzekł poseł zbliżając się z przymileniem do Maryny, »przybywam ocalić panią i z nieszczęsnego zdarzenia tego korzystać.«

»Jak mam to rozumieć?« z dumą, cofając się zapytała Carowa.

»Jak chcesz Carowo«, odparł poseł obojętnie, »lecz najlepsze tłómaczenie moich wyrazów wyczytać możesz z pięknych ócz swoich, których ogniste promienie wznieciły we mnie jeszcze ognistszy zapał.«

»Czyś waszmość zmysły utracił«, wyrzekła Maryna odchodząc prawie od przytomności, »jak śmiész to do mnie mówić i w téj chwili?«

»Chwila ta najsposobniejsza ku temu«, odrzekł śmiałek dworując z przycinkiem. »Czas już, ażebyś Carowo wiedziała o wszystkiém i czas zdjąć maskę, którą tak długo nosić przymuszony byłem.«

»Biada mnie!« zawołała Carowa śród strumieni łez«, a więc w piersiach moich karmiłam węża, który czołgając się pod świętą osłoną przyjaźni, umiał zaufanie moje wyłudzić! Lecz czegoż płaczę« mówiła daléj z udaną obojętnością gwałtownie łzy utłumiając«, czemuż czułość okazuję tam, gdzie tylko ponure władze namiętności olbrzymie i tysiąckrotne roztoczywszy ramiona, śród mordów i zgrozy, śród łez i ofiar do celu dążą! Odmierzę jak mnie wymierzono«, dodała w wezbranym żalu wewnętrznéj rozpaczy, »oderwę się od nieba i zawrę związek z duchami ciemności!«

»Wpadasz w obłąkanie, politowania godna Carowo!« wyrzekła Katynka i jak złamana lilija padła u nóg swéj pani.

Zgiełk tym czasem coraz bardziéj się zbliżał, dzikie tłumy żołdactwa przeciągały po oświetlonych ulicach, a obywatele wołali zemsty. »Precz z wydziercą tronu!« głos ten złowieszczy brzmiał zewsząd. Drżąc otaczały niewiasty panią swoję; ale ta była spokojną, a syna do bijącéj przyciskając piersi, z odwagą oczekiwała losu.

»A więc pani nie chcesz iść za mną?« raz jeszcze Własyjew zapytał. »Dobrze!« zawołał głosem przerażającym, gdy Carowa odpowiedziała mu tylko wzrokiem pogardy, »późniéj obaczymy się jeszcze!« To rzekłszy zniknął pomiędzy ludem, cisnącym się do komnat carskich. Już chciano Marynie wydrzéć syna, ten najdroższy jéj klejnot, już kilku zuchwalców chciało się targnąć na własną jéj osobę, gdy wpadł książę Szujski, zgiełkliwym tłumom uciszyć się rozkazał, a towarzyszącym strażom zalecił, ażeby Carowę z synem i niewiastami do poblizkiego zaprowadziwszy domu, na oku miały. Maryna nie powiedziała ani słowa, nie narzekała, nie skarżyła się i łza żadna nie zrosiła jéj oczu; duch jéj uwolniony z kajdan życia, zdawał się bujać nad ziemią i tylko miłością matki wzrok ożywiony zdradzał skrę istnienia w jéj piersiach.

Niegodny, nieprawy władca Rossyi, samozwaniec Dymitr, zakończył życie, gdy tymczasem małżonkę jego wypchnięto z widowni jéj dawnéj wielkości i potęgi. Nieustraszony syn pewnego znakomitego bojara, zadał mu raz śmiertelny. Nieszczęśliwy wróciwszy z uczty zaledwo odpoczął snem pokrzepiającym, gdy z dzikim krzykiem powstała burza, i wszelkie dumne plany jego wraz z ich twórcą w nicość rozwiała.

»Panie, zdrada!« zawołał szatny Basmanów, »oddam za Was życie moje, a Wy tymczasem ratujcie się ucieczką.« To rzekłszy staje u drzwi gmachu carskiego i wstępu odważnie broni, lecz nareszcie kilku razami przeszyty, pada bez duszy. Po trupie wiernego sługi wdziéra się zgraja morderczа do carskiéj komnaty, i raduje się męczarniami swego dawnego pana. »Dziś mnie jutro tobie!« głosy z ust dzikich brzmią do uszu umiérającego bez pociechy, któremu wtedy dopiéro po raz piérwszy ta prawda do drżącéj przedarła się duszy: że w wielkiéj chwili rozdziału z życiem, purpura nawet blask traci, i tylko cnota niebiańskim jaśniejąc promieniem, do wiecznego wznosi się światła.

Niepodobna opisać rozruchu i rozléwu krwi, które wtedy w Moskwie aż do późnéj nocy trwały. Około 4000 Polaków i Litwinów utraciło życie, między którymi było wielu ze znakomitych rodzin. W szczupłém gronie tych, których bojarowie, kładąc nareszcie tamę rzezi morderczéj, przy życiu

zachowali, był także wojewoda sandomiérski, Jérzy Mniszech, ojciec Maryny.

Dla pana tak dumnego zmiana podobna losu była nader dotkliwą. Złoto, skarby, nawet spokojność sumienia oddał w ofierze, zerwał miłosny związek córki, zatruł jéj młodość, do czystego serca wlał uczucie winy, a wszystko to uczynił dla chwilowego ziemskiego szczęścia, które zniszczone teraz u nóg jego leżało. Utłumiając wszelkie szlachetne uczucia, gdy nieszczęśliwą córkę ujrzał piérwszy raz po onym dniu okropnym, nie przycisnął jéj do serca, żadném słowem miłości nie pocieszył ciérpiącéj. Zimno i dumnie okazawszy jéj wszelkie oznaki uszanowania, przynależne zgasłéj wielkości, przystąpił do niéj i rzekł: »Chcą cię przymusić, byś się zrzekłszy praw swoich do tronu rossyjskiego, do ojczyzny powróciła. Ale mocno zawiódłbym się na tobie, gdybyś usłuchawszy tych rad zwodniczych, wystawiła się na hańbę, i na urągowisko wrogów.« Maryna milcząc, chwil kilka poglądała przed siebie, nareszcie podniosłszy zapałem rozognione oczy, rzekła głosem stanowczym:

»Nie, mój ojcze, o to nie lękaj się o mnie, wszakżem z twojéj wyszła szkoły, a mistrz uraduje się swoją uczennicą. Obecne uczucia wygnały dawniejsze z piersi moich. Los, któremu się poświęciłam, zabrał mi wszystko; teraz na mnie koléj wezwać go do walki, i znaglić do zapłacenia długu. Nawet życie za koronę ruską odważę!«.

»Przedziwnie, córko moja!« zawołał dumny starzec, »widzę, że krew Mniszchów w twych żyłach płynie!«

Książę Wasyl Iwanowicz Szujski, podżegacz tego strasznego buntu, zajął tron, powtórnie osiérocony. Przyjaciele i stronnicy jego, nie starając się wprzódy o miłość narodu, którego część większa zaledwo wiedziała, co w Moskwie zaszło, zaraz dnia czwartego po zamordowaniu fałszywego Dymitra, publicznie obwołali go Carem, i tego samego tygodnia jeszcze w katedrze *Boharodycy*, włożyli mu na głowę koronę krwią zbroczoną. Wkrótce po tém rozesłał nowy władca wielu znakomitych bojarów do różnych prowincyj państwa, dla odbiérania przysięgi wierności od ludu, który lubo rozkazom tym nie sprzeciwiał się otwarcie, atoli wymuszone posłuszeństwo wykonywał z dość widoczną odrazą. Chęć szczéra spokoju, i dawane przez wysłańców w imieniu nowego władcy najświętsze przyrzeczenia: że odtąd wszystko szczęśliwiéj pójdzie, i że nad zachmurzonem niebem Rossyi, zadnieje wkrótce poranek błogiéj przyszłości, potrafiły nareszcie ułagodzić wzburzone umysły, i lud nieszczęśliwy nowémi zakuć więzami. Posłów polskich i inne znakomite osoby dawnego dworu samozwańca zatrzymano, zaś wojewodę Mniszcha z córką odesłano pod mocną strażą do ruskiego Jarosławia, i obojgu zakazano surowo, ażeby ani z Rossyją, ani z Polską żadnych nie utrzymywali związków.

* * *

Burza przebiegłszy przez młodzieńcze życie Jana, wszelką w niém rozkosz zniszczyła. Przyszłość okazywała się oczom jego bladą i bezbarwną. Jedynie myśl ta, że Maryna niewinną była ponoszonych przez nią ciérpień życia, i że błogie szczęście miłości swojéj oddała w ofierze tylko na wezwanie wyższych obowiązków, cieniowała żal jego jakiémś wyższém uszlachetnieniem i nie zniszczyła zupełnie dzielności ducha. Jeźli kiedy jakie dalekie uczucie zaczęło w nim wyraźniéj się tworzyć i obudzało wątpliwość o jéj miłości, potrzeba było jedynie, ażeby sobie przypomniał ostatnie chwile pożegnania w Samborze, a wnet obraz kochanki, znowu promiennie i czysto, żadną niezaćmiony chmurką, w wiernéj duszy jego zajaśniał. Zaś rodzina jego, szczególnie ojciec i Helena, ta tkliwa przyjaciółka ciérpiącego brata, nie chciała bynajmniéj zgodzić się z nim co do tego jednego szczegółu. Ojciec mawiał: »Ty patrzysz oczyma miłości, ja spokojnym wzrokiem rozsądku.« Siostra, teraz szczęśliwa narzeczona księcia Radziwiłła, z wszelką delikatnością płci swojéj, wystawiała mu naprzeciw miłości niewiernéj Maryny, niczém niezachwianą miłość swojego Aleksandra, stale przeszkody wszelkie pokonywającego. Jan nie mógł tego zaprzeczyć, że Aleksander Radziwiłł w podobném jak Maryna był położeniu; rodzina jego również dumna i pełna zastarzałych przesądów, długo także przeszkadzała dość mocno połączeniu się księcia Radziwiłła z szlachcianką panną Różycką; ale ten na nic nie bacząc, wszelkim grożącym mu przeszkodom nieulękle stawił czoło i wolne serce, niezdolne złamać zaprzysiężonéj wierności.

* * *

Jan lubo nie zaznał własnego szczęścia, nie był jednak nieczułym na szczęście lub ciérpienia drugich, i dzielił wszelkie uczucia drogich mu osób. Dla tego szczęśliwym losem siostry, wkrótce małżonki Radziwiłła, niejako własne łagodził ciérpienia, i doznawał pociechy w jéj spełnionych nadziejach.

»Fałszywy Dymitr zamordowany, a książę Szujski został Carem Rossyi«, z témi wyrazy wszedł książę Radziwiłł do komnaty małżonki swojéj.

»Czy podobna?« zawołała z zadziwieniem młoda małżonka, »a Maryna?«

»Siedzi wraz z ojcem w ścisłém więzieniu w Jarosławiu.«

»O mój biédny brat!« księżna z głębokiém uczuciem zawołała, »jakże go ta wiadomość przerazi, i odnowią się wszystkie dawne jego ciérpienia!«

»Bynajmniéj kochana Heleno«, odparł Aleksander Radziwiłł, »teraz właśnie jest w mocy Maryny ukoić te ciérpienia; niech pospieszy do niéj, wyprowadz iz więzienia, i z wolnością odda jéj rękę swoję.«

»Ach! ty nie znasz dumnego serca Maryny«, z westchnieniem Helena odrzekła, »ona nie opuści tronu i wierzaj mi, że ta miłość nieuszczęśliwi naszego Jana.«

»Zawsze powątpiéwasz«, żartował małżonek, całując piękne usta hożéj niewiasty, »mało masz zaufania w potędze miłości, lubo niewdzięczna ty sama najwięcéj jéj szczégólnych doznałaś względów.«

»Ale też mało jest tak wiernych serc mezkich, jak twoje najdroższy przyjacielu«, z uśmiechem księżna odrzekła; »wszyscy mężczyzni bujają z kwiatka na kwiatek, niszczą je, a zapomniawszy powiedłe, ubiégają się za nowémi wdziękami. Nie prawdaż kochany Olesiu«, dodała tkliwo-błagającym głosem, »że ty sam udasz się do mojego brata?«

»Niepotrzeba«, rzekł Jan, wszedłszy właśnie na to do komnaty.

Uwiadomiony już o wypadkach w Moskwie zaszłych, nowożeńcom inne znowu przywiózł nowiny, a między innémi tę także, że od króla Jegomości łaskawie przyjęty, od tegoż mianowany jest posłem na dwór wiédeński, i już pojutrze ma jechać w miejsce swojego przeznaczenia.

Szczęście i żądza miłości, które z lekka jak tony arfy Eola, okrążały serce Jana, przytłumione surowém brzmieniem obowiązku, musiały znowu w żal się rozpłynąć, gdyż rozkazowi królewskiemu bynajmniéj oprzéć się nie mógł. Łaskawość króla na ostatniém posłuchaniu, zniewoliła wezbrane serce jego do wyznania nieszczęśliwéj miłości, a dobry Zygmunt nie był obojętny na wielkość uczuć jego. Sam przyrzekł wstawić się za nim do kochanki, i wejść w układy z teraźniejszym Carem ruskim o jéj uwolnienie.

Zatém nic więcéj nie pozostało Janowi w teraźniejszych okolicznościach, jak zapuścić się w morze ognistéj fantazyi i za jéj pomocą odmalować Marynie błogie rozkosze miłości: »Jużeś wolną teraz kochanko moja«, pisał do niéj, »więzy nie krępują cię, ani ciążąca korona nie uciska twéj głowy; los pojednanym został. »Pozwól użyć mi téj rozkoszy, ażebym łzy twoje otarł. Jeźli dla miłości nie możesz jeszcze »zrzéc się wszystkiego, walcz przynajmniéj odważnie przeciw powstającym namiętnościom słabości ludzkiéj, i wawrzynu zwycięztwa nie »daj sobie wydrzéć zawistnie: zamienisz go na »ślubną mirtu gałązkę. Przybywaj kochanko moja, korony wprawdzie dać ci nie mogę, ale »dam skarby daleko trwalsze: miłość i wierność, »które nigdy niewyczerpią się, których żadna »strata niedotknie.« List ten posłano do Cara Wasyla z dołączeniem pisma zalécającego od króla Zygmunta.

(Dokończenie nastąpi.)

MALARZ KWIATÓW REDOUTÉ.

Niedawno sprzedawano na publicznéj licytacyi w Paryżu po tym sławnym malarzu kwiatów, pozostałe szkice i obrazy. Zebrane razem te przedmioty przedstawiały smutny widok, były tam bowiem nietylko piérwsze próby młodego artysty, ale nawet ostatnie natężenia wielkiego mistrza, piérwsze i ostatnie kwiaty, które uszczknął w najpiękniejszych ogrodach tego świata. Z dzieł ukończonych zupełnie, był tylko jeden bukiet z róż na czarném tle, który powszechne podziwienie obudzał, i 1839 r. na wystawie pięknych sztuk się znajdował, następnie kilka gałązek piwonii; lecz nie było nikogo, coby te arcydzieła kupić był w stanie. Prócz tych, jeszcze inne dwa malowidła zwracały na siebie uwagę publiczności. Najprzód: na karcie welinowéj, ostatni pomysł artysty, prześliczna lilija, całkiem wieczorną rosą oblana, którą Redouté na pięć minut przed swą śmiercią malował; powtóre ów wielki obraz całkiem pobieżnie narysowany, dla którego Redouté, z hańbą dyrekcyi pięknych kunsztów, ze świata zeszedł. Zajmował się on całe życie pomysłem, który na tym obrazie chciał przedstawić. Na krawędzi jego zamyślił na różanym, niezwiędłym listku, nakreślić wyrazy: *Eregi monumentum*, a dla uświetnienia go, wezwał do pomocy wszystkich przyjaciół i towarzyszy swoich dni najpiękniejszych. Piękne figury na tym obrazie mającym ośm stóp wysokości, są pędzla Gerarda, który wezwany od malarza Redouté do odmalowania ich, rzekł: »Kochany przyjacielu, ty żądasz, abym odmalował Nimfy na twym obrazie? Ach biédneż moje Nimfy! zdołająż one wytrzymać rozkoszną woń twych kwiatów?« Piękną lilije, ostatnie dzieło artysty, chciała kupić pewna osoba dla jakiéjś dostojnéj familii za granicą; ale dwie powinowate zmarłego, nie mogły się rozstać z tém ostatniém, poezyjném natchnieniem mistrza.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 36. i obejmuje: 1) O własnościach fizycznych i chemicznych części składowych gruntu. (Dokończenie.) 2) Sposób ułaskawienia byka. 3) O fabrykacyi potażu. (Ciąg dalszy.) 4) Rozbiór aparatu gorzelnianego wynalazku p. Langmajera.

Pamiętniki Janczara. O »Pamiętnikach Janczara Polaka«, przed rokiem 1500 napisanych, a w drukarni A. Gałęzowskiego w Warszawie 1828 r. w Zbiorze pisarzów polskich wydanych, profesor Andr. Kucharski, w mowie swojéj, mianéj przy uroczystém zakończeniu biegu rocznego nauk w gimnazyjum warszawskiém na Lesznie, 31go lipca 1840, powodowany spostrzeżeniem towarzysza swojego w nauczycielstwie pana Kopytowskiego: że ten czytając Chrestomatyję Jungmana, pod napisem: *Slowesnost*, w Pradze 1820 r. wydaną, znalazł w niéj wyjątek zupełnie odpowiadający »Pamiętnikom Janczara Polaka«, wyciągnięty z dzieła czeskiego: *Hystorya neb kronyka Turecka od Michała Konstantyna z Ostrowice Raca neb Bosnaka nekdy od Turków zagateho, a mez Gencare daneho werne a prawe sepsana. Item tażeni proti Turku, a na koncy taki pridane gsau nektere weczy z knih o sławnych czinech Skanderbeka knižeti Epyrotskeho etc. Od Alex. Augezdeckeho Impressora w gedno sebrana, a na mnoha mistech z strany Cestiny zprawena a w Litomysli u Alex. Augezdeckeho* 1565 *wydana etc.* w 4ce (i znowu tamże 1581 r. przedrukowane) — w ten sposób otwiéra swe zdanie: »Że te Pamiętniki Janczara Polaka, znalezione w rękopismie w klasztorze w Berdyczowie, a w Warszawie 1828 r. wodbite, są tylko starém tłumaczeniem téj: Historyi czyli kroniki tureckiéj, po czesku napisanéj, a w Czechach w Litomyślu 1565 roku odbitéj.« My z tym wnioskiem p. prof. Andr. Kucharskiego całkiem zgodzić się nie możemy, a to dla tych przyczyn: bo nie donosi nam uczony Kucharski, że widział sam ten rękopis wynaleziony w klasztorze w Berdyczowie; bo nie kładzie nam podobizny z niego wziętéj; bo nie dowodzi, że to nie może być rękopis wyszły z pod ręki samego autora Janczara (szkoda tylko, że w wielu miejscach został uszkodzony), z którego może sam Alex. Augezdecki Impressor swoję Historyję, czyli kronikę turecką wydrukował, na czeszczyznę przełożywszy, jak to sam w napisie téj historyi powiada: *a na mnoho mistech z strany czestiny zprawena.* — Więc upraszać nam wypada uczonego badacza sławiańszczyzny profesora Alex. Kucharskiego, aby się zajął przejrzeniem samego rękopisu znalezionego w klasztorze w Berdyczowie, i o nim dokładną dał nam wiadomość z dołączeniem z niego podobizny (*fac simile*) choć dwóch stronic, nim dostaniemy całą tę Historyją czyli kronikę turecką (odbitą w Litomyślu 1565 r.) staraniem pana Wacława Hanki, o któréj wynalezienie i przysłanie go upraszamy; zawsze oświadczając winną wdzięczność obudwóm pp. Profesorom Kopytowskiemu i Kucharskiemu, za zwrócenie uwagi na te Pamiętniki Janczara, który na Morawie lub Szląsku będąc, mógł po polsku pisać; i że wskazali drogę, którą można dopełnić to: co niedostaje w jego rękopisie w klasztorze w Berdyczowie znalezionym, a to za pomocą téj Historyi, czyli kroniki tureckiéj, wyżéj wspomnionéj, po czesku w Litomyślu od Alex. Augezdeckego 1565 wydanéj. Zawsze jednak powszechność winna jest wdzięczność p. Gałęzowskiemu za wydanie rękopisu Janczara w starożytnéj postaci, choć uszkodzonego, który dopiero porównamy z Augezdeckego czeskiém wydaniem, skoro toż od uczonego p. Wacława Hanki dostaniemy, i dla powszechnego pożytku w naukowym Imienia Ossolińskich księgozbiorze złożymy.

A.

W Wilnie wydał ks. L. A. Jucewicz drugą edycyję dziełka: *Instrukcyja Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, ojca króla Jana III. dana panu Orchowskiemu ze strony synów.* (Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Nakładem Rubena Dajena. W 8ce stron. 60. papiér niezły.)

Z listu pisanego do Warszawy przez Józefa Ignacego Kraszewskiego, dowiadujemy się, iż zamyśla wkrótce zacząć wydawać, jakby pismo czasowe, zeszytami, zbiór pod nazwą: *Atenaeum*, który trzy działy zawierać będzie: 1) Historyją, 2) Literaturę, i 3) Sztuki.

Tegoż autora, w Poznaniu wychodzi drugie, znacznie poprawione wydanie romansu: *Poeta i Świat.*

Tryjumf przemysłowości. Niejaki pan Morisson pokazywał towarzystwu budowniczych angielskich nadzwyczajne dzieło ludzkiéj przemysłowości, mianowicie jedwabiem na warstacie tkany wizerunek Jacquarta. Sławny ten mąż przedstawiony jest w swéj pracowni pośród narzędzi, w chwili, gdy przemyśla nad warstatem, który jego imię uwiecznił. Godna podziwienia tkanina ta podobna jest do najdelikatniejszéj ryciny. Każdy cal czworoboczny zawiéra 1000 nitek osnowy i tyleż wątku. Na wyrobienie całego wizerunku wyszło 24000 wstążek na listwy, a każda z nich 1500 dziur miała. Najtrudniejszém było zrobienie zupełnie jednobarwnym, jakby tuszowanym szérokiego obwodu, i nadanie jak największéj wybitności narysom.

Zgodność pulsacyi krwi z godziną. Wielu naszych czytelników nie wié, że przez puls ludzki w każdéj porze można dokładnie oznaczyć każdą godzinę w dzień i w nocy i to w sposób bardzo prosty. Trzeba usiąść przy stole, oprzéć o niego łokieć, uwiązać pieniądz albo pierścionek na nici, ująć ją wielkim i wskazującym palcem, i w ten sposób zawiesić pieniądz lub pierścionek pośrodku śklanki. Pierścionek natychmiast zostanie wprawiony w ruch tak jak wahadło w zégarach, a to przez poruszenia pulsu. Ruch ten powiększać się będzie tak, że nakoniec pierścionek zadzwoni w brzeg śklanki. Przypuśćmy że czynimy to doświadczenie po godzinie siódméj, wtedy pierścionek na nici tylko siedm razy uderzy o śklankę, potém zwolna osłabnie jego wahanie i znowu zawiśnie w środku śklanki. Jeźli jeszcze potrzymamy nitkę, po pewnym czasie doświadczenie powtórzy się znowu. Nie potrzeba ostrzegać iż należy silnie trzymać nitkę, inaczéj bowiem mogą zajść przeszkody regularnemu wahaniu się. Można to doświadczenie czynić w każdéj porze dnia i w nocy, skutek zawsze będzie dokładny.

Zatopienie miasta Natchez w Ameryce Północnéj. O spustoszeniu, które niedawno, przez nadzwyczajny przypadek natury spotkało miasto Natchez w Ameryce Północnéj, dzienniki Nowojorskie podają szczegóły następujące: Dnia 7go maja r. b. około godziny drugiéj po południu, oberwała się chmura trąbą morską zwana, nad miastem Natchez i prawie do szczętu je zalała. Niewiadomo jeszcze dokładnie, ile przy tém ludzi zginęło; dotychczas nie można odszukać około 600 osób. Znaczną ilość zatonionych rzeka z sobą porwała. W czasie tego nieszczęścia trzęsła się ziemia tak gwałtownie, iż się gmachy na głowę swych mieszkańców waliły, a ci, którzy przed powodzią na najwyższe piętra uciekli, pod upadającemi dachami zgruchotani zostali. Z zadziwieniem spostrzeżono, iż najmocniejsze gmachy zupełnie się w gruzy zapadły, podczas gdy drewniane, wątłe budynki, śród natarczywego orkanu się ostały. W godzinę po téj strasznéj klęsce przedstawił się oczom okropny widok: dólne miasto zupełnie znikło! Wzburzone bałwany uniosły z sobą wszystkie domy, sklepy, magazyny i ludzi, którzy w pośpiechu bezpiecznego schronienia znaleźć nie mogli.

Przepaści wodne pochłonęły także trzy niedawno tam przybyłe statki parowe razem z wszystkimi podróżnymi, a 170 innych, towarami naładowanych większych statków żaglowych zniknęło, ani śladu po sobie nie zostawiwszy!

W i e l k a p l a m a w s ł o ń c u. W dzienniku *Didaskalia* czytamy: »Prawdziwém szczęściem nazwać można, iż nie wszyscy ludzie bawią się astronomiją, i że tylko uczeni, u których czas i przestrzeń nie wiele znaczą, tą niebiańską umiejętnością się zajmują. I tak dowiadujemy się od tych panów o rzeczach, na któreby nieumiejętny człowiek prawdziwie struchléć musiał. Do takich rzeczy policzyć można doniesienie profesora Gruithuisen w Mnichowie, który dnia 19go lipca około godziny dziewiątéj z-rana dostrzegł na słońcu największą plamę, jaką w tém stuleciu widziano. Nadmieniona plama obejmowała przeszło 188 milijonów jeograficznych mil czworobocznych, była więc dwadzieścia razy większą niżli powierzchnia naszéj ziemi. — Przyznajemy ze wszech miar, iż to jest największa plama, o jakiéj kiedy słyszéć się nam zdarzyło, ale nadmienić wypada, iż jest wielką sztuką obejrzeć okiem przestrzeń, wynoszącą 188 milijonów mil czworobocznych. Wszakże taka przestrzeń przechodzi wszelkie ludzkie pojęcie!«

P o m i e s z k a n i e p a n i G e o r g e s S a n d w zamku Nohant. Nad drzwiami pokoju jest napis: »*La fumée de la gloire ne vaut pas la fumée de ma pipe.*« W środku pokoju stoi na podstawach poważne, bardziéj szérokie niż długie łóżko prababki. Naprzeciw niego zwierciadło, które niegdy do Dyjanny Poitier należało, na około wiszą fajki, sztylety, różańce i sandały. Na piecu stoi Chrystus z bronzu. Krzesła *rainessance*, kilka obrazów Rafała, zegar ścienny, który królowi Leszczyńskiemu odliczał godziny, serwis na herbatę i kawę, chińskie wazy, stary na stoliku leżący pulares, uzupełniają umeblowanie, które tu i ówdzie bez symetryi jest porozstawiane. Jednakże najważniejszym ze wszystkich mebli, jest ekran, na którym poetka ta poprzylépiała śmiészne od sławnych mężów do niéj pisane listy. Georges Sand lubi równie muzykę jak i zapachy. Jakoż pokój jéj zawsze napełniony jest wonią Wschodu. Lubi ona zajmować się kwiatami, i utrzymuje, iż trudniéj jest piękny uwić bukiet, niż najpiękniejszy napisać romans. Do obszérnego jéj pokoju przytyka mały gabinet, w którym kruszce, owady, pamiątki z odbytych podróży, różne gatunki mchu i rozmarynu na górach uszczknionego, porozrzucane leżą; na ścianie wisi okrętowa mata, a obok popsutéj gitary widzisz trupią głowę. Cały ten gabinet jest bardzo posępny, i zdaje się, iż w nim »Lelija« z swemi narzekaniami powstała.

Alée verte jestto *Prater*, jestto *Long-champ* bruxelski. Jak wszędzie tak i tam widać małpowanie Paryżanów, a jak w Bruxeli w ogólności słyszeć lubią, gdy to miasto małym Paryżem nazwiész, tak téż *Alée-verte* żowią tam zwykle małym *Long-champ.* A przecież *Alée-verte* ma właściwość, jaką ani Paryż ani Wiedeń, ani téż jakikolwiek plac rozrywki publicznej w Europie poszczycić się nie może, to jest, ma widok arcy-spaniały i wzniosły. *Alée-verte,* jakkolwiek na wązkiéj przestrzeni, jednoczy w sobie wszystkie wynalazki, jakie tylko duch człowieka dla oderwania się od bryły, na którą natura go rzuciła, wymyślić zdoła. Podczas gdy na drodze przerzynającéj tę aleję, snują się ludzie pieszo, końmi i powozami, tuż koło drzew po lewéj ręce, ciągnie się przyjemny kanał, po którym dla rozrywki z Lekenu do Bruxeli, a z Bruxeli do Lekenu na łodziach się płynie; po prawéj stronie zaś, nawet małym rowem od alei nieoddzielona, idzie bokiem do Mechlina i Antwerpii prowadząca kolej żelazna tak blizko, iż znajdujący się w parowym powozie podróżni, swoim znajomym, którzy się w *Alée-verte* przechadzają, dobry wieczór powiedzieć mogą. Jestże taki drugi plac w Europie, gdzieby konie i powozy, okręty, lokomotywy i pieszo idący ludzie na tak wązkiéj przestrzeni prawie obok siebie mieścić się mogli? Zaiste, podróżny, który na samotnych alpejskich górach spaniałość natury podziwia i w niéj zatopiony nad nicestwem i nędzą ludzką żałośnie się zastanawia, niech idzie do téj alei, tam człowieczego ducha poważać, i w siły swoje otuchę pokładać się nauczy, a jeżeli wielką i potężną jest natura, tém większym i potężniejszym jest człowiek, który ją w swoję służbę wprzęga.

Z g r y z o t a s u m i e n i a. Przed trzema laty skazano dwudziesto-letnią małżonkę pewnego znakomitego Rossyjanina na dożywotnie więzienie w kopalniach syberyjskich. Niewiasta ta była piękną, nader przyjemną i pochodziła z szlacheckiéj familii zamieszkałéj w Petersburgu. Uniesiona zazdrością zabiła swego małżonka; za dopuszczeniem się téj zbrodni nastąpiła niezwłoczna kara. Jéj żal, rezygnacyja i przykładne zachowanie się spowodowały rząd, iż ją zamiast do roboty w kopalniach, do szpitala w Omsk w Syberyi oddać rozkazał. W tém miéście w przeciągu trzech lat zjednała sobie poważanie u swoich przełożonych, i u kobiét, które jéj w szpitalu podległe były. Gubernator miejscowy wstawił się za nią do rządu i uzyskał ułaskawienie. Atoli niewiasta po otrzymaniu téj radosnéj nowiny, zapadła w smutek głęboki, i udawszy się do swojego pokoju, już się więcej nie pokazała. Niebytność jéj zdziwiła nakoniec obecnych, wysadzono drzwi—ale jakiż widok przedstawił się ich oczom: nieszczęśliwa niewiasta leżała na ziemi w krwi zbroczona, na stole był papier zawiérający te wyrazy: »Poświęcałam życie za życie! Doczesna sprawiedliwość przebaczyła mi, ale nie wieczna. Bóg wzywa mnie do tego, któregom kochała, którego jeszcze kocham, a któregom zabiła. Bądźcie zdrowi, przebaczcie mi, i módlcie, ach módlcie się za duszę moję!«

J a k d ł u g a m o ż e b y ć b r o d a c z ł o w i e k a? Obliczono z pewnością, iż gdy człowiek siedmdziesięciu lat dożyje, przez ten czas przeszło 18 stóp brody sobie ogoli.

R z a d k i w i d z n a p o g r z e b i e. Wiadomo, iż d. 28. lipca b. r. wykopano śmiertelne zwłoki wszystkich przed dziesięcią laty w walce z linijowém wojskiem poległych i na głównych placach Paryża pogrzebanych bohatérów lipcowych. Zwłoki te złożono w grobie na placu bastyli, pod tak zwaną kolumną lipcową. Pomiędzy wielu ciekawymi, którzy pod łukiem tryjumfalnym w bramie *Saint-Denis* dobijali się o miejsce w czasie tego pogrzebowego obchodu, spostrzeżono także czterdziesto-letniego człowieka o drewnianém szczudle, i w zburzonym stanie umysłu. W chwili, gdy nadjechał ogromny przez 24 konie ciągniony karawan, chciała publiczność odepchnąć kalekę, ale sierżant miejski, wziąwszy go w swą opiekę, rzekł do stojących: »Mości panowie, zróbcie miejsce dla tego męża, prawa noga jego leży także na tym karawanie, niechżeż więc, iżby ją chciał zobaczyć, gdy po przed niego przeciągać będzie!«

S p r o s t o w a n i e:

W przeszłym Nrze. *Rozmaitości*, w powieści *Maryna Mniszchówna*, zamiast A n n a k r ó l o w a, czytaj: A n n a k r ó l e w n a s z w e d z k a. — W tymże Nrze. na str. 299. przedziałce 2giéj wierszu 29. od góry, miasto *cyrillani lexici*, czytaj: *cyrilliani lexici.*

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.